

Klaudia Skorupińska

# Czerwone szpilki

♦♦♦

Zawsze chciała mieć czerwone szpilki. Dokładnie wiedziała, jakie będą. Żyły w wyobraźni przez długi czas. Wyprofilowane idealnie dla jej stopy, wygięte niczym kręgosłup podczas porannego przeciągania. Wnętrze delikatne i miękkie. Pachnąca nowością skóra. Lśniąca, ale nie w wulgarny sposób. Podeszwa w kolorze kawy z mlekiem, z wybitym numerem 36. Subtelnie spiczasty kształt czubków. Obcas wąski, wysoki na osiem centymetrów, prosty jak struna. Jego końcówka biała, stwarzająca wrażenie zanurzonej w śniegu. Elegancja zamknięta w upragnionych pantofelkach. Wiele osób mówiło jej, że wygląda jak Jackie Kennedy, a ją to niezmiernie cieszyło, bo uwielbiała Jackie całym sercem. Lata 60. uważała za najlepszy okres w historii XX wieku. Kiedy wreszcie kupiła je i założyła, spojrzała w lustro z uśmiechem. A potem się zasmuciła.

Przecież przedszkolanki nie noszą czerwonych szpilek.

♦♦♦

Podobno im zimniej, tym księżyc bielszy. Tej nocy miał barwę kości słoniowej, zupełnie pozbawiony szarych plam jaśniał nad miastem okrągły i pełen majestatu. Pełnia zwiastowała kolejne chłodne dni. Temperatura poniżej zera utrzymywała się już tak długo, że mieszkańcy zdążyli się przyzwyczaić do skostniałych palców i przemoczonych ubrań. Poznań dawno zasnął. Lampy migotały zmęczone słabym dopływem prądu, słychać było zwarcia w instalacji. Rozgrzane druty za cienką

szybą zupełnie odcięte od mrozu. Wiatr formował zaspy, białe drobiny wirowały w powietrzu, po chwili osiadając na parapetach, oknach, witrynach, w których wisiały bombki, lampki i stały Mikołaje. Tory skrzypiały, kiedy ostatni nocny tramwaj przecinał ich strukturę. Motorniczy ziewał, nadto żywołowa muzyka lat 80. płynąca ze starego radia przypominała mu dawne czasy, szalone dyskoteki z Maryską. A może to była Danuśka? Spojrzył w lusterko, kilku pasażerów drzemało. Pozazdrościł im i prychnął pod nosem. Przegryzł nieco zaszuszoną sznekę z glancem i zamrugał, bo właśnie zgasły lampy. Przeklął, podrapał się po siwym wąsie i włożył dłoń za koszulę, napiętą na grubym brzuchu. Ostrów Tumski, co noc to samo. Rozluźnił zielony krawat, dość miał skoków ciśnienia i tego przekłętego cholesterolu. Warta leniwie przenosiła kawałki lodu, które odbijały się od filarów podtrzymujących stary most. Chciało mu się spać, znowu zapomniał okularów. Przez przymknięte powieki widział niewyraźnie i niewiele. Pomyślał, że zgłosi to przełożonym, bo przecież tak nie może być. Widoczność to podstawa. Potem wzdrygnął się na myśl o tym, jak lodowata jest teraz woda. W zeszłym tygodniu oglądał jakiś dokument na Discovery, szwagier załatwił mu telewizyjny Płatynowy Pakiet. Mówili o oceanach i morzach, ale o rzekach ani słowa. Podobno w Oceanie Atlantyckim w kwietniu wystarczy dziesięć minut i człowiek zamara. Dziesięć minut to mało czasu. Ciekawe, ile dałoby radę wytrzymać w Warcie. W domu podgrzeje sobie schabowego z ziemniakami, zrobi grzańca. Dobrze, że jeździ starą bimbą, chociaż na ogrzewanie nie może narzekać. Kabinę ma ciepłą niczym sauna. Jak mawia Zbychu z szesnastki: Hawaje, all inclusive. Raz tylko był w Chorwacji – i już światowy. Ale lubił Zbyszka, on też kibicuje Lechowi, swój gość, nie żaden słoik. Zamyślony prawie nie zauważył zataczającego się na torach pijaka. Gwałtownie zahamował, dociskając starym butem pedał do samej podłogi. Jego torba z impetem spadła na ziemię, klucze wpadły pod fotel. Siła hamowania była ogromna, pasażerowie zostali wyrwani ze snu. Dobrze, że wszyscy siedzieli. Otworzył okienko i zwymyślał mężczyznę. Szybko je zamknął, bo w jego czerwone policzki uderzyła fala zimna. Udało się, ale tak nie może być. Nie może. Umościł się wygodnie i spokojnie ruszył. Drożdżówki z ziemi nie będzie jadł. Na pewno zgłosi te gasnące lampy przełożonym.

♦♦♦

Hamowanie wytworzyło przerażający dźwięk. Odbił się od mostu, potoczył echem nad taflą rzeki. Na chwilę opanował całą okolicę. Byłby w stanie zagłuszyć przelatujący samolot. Zagłuszył jednak coś innego. Coś tam na dole, nad brzegiem Warty. Nikt nie usłyszał rozpaczliwego krzyku. Pękającego materiału. Ani wołania o pomoc. Rozdzierający powietrze jęk bólu rozplątał się w starciu z hałasem spowodowanym manewrem motorniczego. Zniknął niezauważony, jakby go nigdy nie było. Płacz pochłonęła rzeka. Krew zbroczyła twardą ziemię, splamiła śnieg, malując na nim zygzakowate linie. Serce biło coraz wolniej, chłód wędrował po całym ciele. Nagle się zatrzymało. Ostatni oddech, delikatna mgiełka. Powieki zastygły, niebieskie oczy wpatrywały się w pospiesznie oddalającą się postać. Buty zamoczone w wodzie, stopy już nieczujące tysiąca lodowatych igieł. Księżyc nie dotarł w ten zaułek, lampy zgasły dawno temu. Tam noc była czarna jak smoła. Miasto na powrót utonęło w ciszy.

◆◆◆

Chociaż była daleko od niego, doskonale wiedział, że to ona. Jej drobna, wręcz wychudzona postać zbliżała się pewnym krokiem. Jak zawsze od stóp do głów ubrana na czarno. Kozaki na wysokim obcasie, ciasno przylegające do smukłej łydki, ołówkowa spódnica, dopasowany golf i długi płaszcz. Energicznie kołyszące się ramiona, rytmicznie poruszające się biodra. Idealna kompozycja sunąca pomiędzy mężczyznami w mundurach. Stała przed nim, a jej blada jak śnieg twarz nie wyrażała niczego poza gniewem. Czerwone usta zacisnęła jeszcze mocniej, przesunęła dłonią po czarnych włosach spiętych w kok. Wiedział, że była zdenerwowana.

– Wyrzuciłeś mnie z łóżka o piątej rano. Lepiej, żebyś miał dobry powód, dupku – syknęła przez zęby, a on zacisnął palce na chłodnej fakturze pióra, którym zawzięcie zapisywał swoje uwagi.

– Dzień dobry. – Uniósł kąciaki ust, na jego twarzy pojawił się zadziorny półuśmiech.

– Bawi cię to? Dorośnij, Witecki. Nie obchodzą mnie sylwestrowi samobójcy. – Spojrzała w kierunku ciała leżącego na brzegu rzeki. – Zwłaszcza ci rzucający się z mostu – dodała po chwili.

– Podejrzewam, że to zabójstwo, dlatego cię wezwałem, partnerko. – Zamrugał, czekając na jej reakcję.

– Jeśli się mylisz, to wiesz mi kawę.

– A jeśli mam rację?

– To będziesz potrzebował mojej pomocy. – Odwróciła się na pięcie i ruszyła na oględziny. Podążył za nią spokojnym krokiem, nie spiesząc się. Doświadczenie go nauczyło, że nie należy irytować ludzi, z którymi się pracuje. Każdego poranka więc, w biurze czy w terenie, starał się być jak powietrze. W gabinecie oglądał stare odcinki *Miami Vice* i jadł kanapki z polędwicą. Dwa lata temu jako partnerka zawodowa została mu przydzielona Anita Orłowska, wyjątkowo chłodna pani kryminolog, przy której cecha sympatycznej niewidzialności stała się jego najcenniejszą zaletą i niekwestionowanym dobrodziejstwem. Byli rówieśnikami, znał ją już na studiach, ale nigdy nie gustował w wyniosłych, dumnych kobietach pozbawionych emocji. Królowa Śniegu – taki miała pseudonim. Do decyzji komendanta w sprawie współpracy z subtelną Anitką podszedł z dystansem. Był człowiekiem cierpliwym i spokojnym, dał jej więc szansę. Początki były trudne, ale ku zdziwieniu całej kadry duet Orłowska & Witecki zaczął funkcjonować zdrowo i wydajnie, rozwiązując kolejne sprawy profesjonalnie oraz szybko. Relacja ta była burzliwa, ale skuteczna. On zawsze opanowany, ona wybuchowa, razem tworzyli zgrany zespół. I choć kłócili się częściej niż przeciętni rozwodnicy, to działali niemalże perfekcyjnie.

– Dobra, raportować, kogo tu mamy, chcę wiedzieć, kto zrujnował mi śniadanie. – Stała nad ciałem i wymownie spojrzała na grupkę funkcjonariuszy zgromadzonych dookoła. „Śniadanie, czyli papieros” – pomyślał Witecki i drugi raz się uśmiechnął, ale pod wpływem westchnienia swojej partnerki szybko odchrząknął i powrócił do sztywnego skupienia.

– Mikołaj Grabowski, trzydzieści siedem lat, prawnik, śmierć nastąpiła około pięciu godzin temu, rany w okolicach skroni i głowy, prawdopodobnie powstałe w wyniku ciosów zadanych kamieniem, na prawym policzku szarpana rana niewiadomego pochodzenia, rozerwana koszula, płaszcz tuż obok. Zamarznięty, ale pośmiertnie. Znalaziono przy nim portfel i dokumenty, pieniądze.

- I zdecydowanie nie przebywał w wodzie. Przynajmniej jego korpus – wtrącił Witecki.
- Błyskotliwe – skomentowała i przyklękła nad sinym i zastygłym obliczem martwego prawnika. Policjanci powrócili do zabezpieczania terenu, pozostawiając dwóch detektywów samych. Już wiedziała, że zaczyna kolejną sprawę, bo ten żartowniś, z którym pracowała, miał rację – to było zabójstwo. Nie w celach rabunkowych. Może znalazł się w złym miejscu i czasie. Wiele rzeczy nie pasowało do siebie, miała potrzebę dokładnego zbadania miejsca zbrodni. Przyglądała się każdemu centymetrowi ciała, mrużąc oczy i zbliżając swoją twarz jak najbliżej ofiary.
- Tylko się z nim nie całuj, wygląda na zimnego drania. – Witecki nachylił się nad nią i szepnął jej na ucho osobliwą uwagę.
- Zrób mi przysługę i zamknij się na pięć minut – warknęła, podążając wzrokiem za linią nacięcia na policzku. Było to coś, co intrygowało ją najbardziej. Nigdy nie widziała takiego rodzaju rany. Jakby ktoś przeorał mu twarz. To nie mógł być scyzoryk ani nóż, a już na pewno nie ludzki paznokieć. Rana głęboka, o nieregularnych kształtach, płytka na górnym brzegu, całością przypominająca wąwóz. Poszarpana, tkanka wyrwana z policzka. Zasznięte różowe wnętrza pokryte drobinami śniegu. Trochę jak wata cukrowa. Za zimno, żeby coś się rozkładało, idealnie zachowana faktura.
- To jest niesamowite. – Jej rzęsy prawie dotykały zakrwawionej bruzdy.
- Dzieło sztuki, co nie?
- Albo kogoś porządnie zdenerwował, albo miał pecha. Wydadz rozkazy, Witecki, a ja jeszcze z nim posiedzę. Wiesz, co robić.
- Zaczynasz gadać jak człowiek. Zbadałem okolicę, mała. Niedaleko są nowe bloki pełne szczęśliwych statecznych rodzin. Podejrzewam, że pan Grabowski zamieszkuje któryś z nich. Nie wiem dlaczego, wracał sam w sylwestra, może zabrakło alkoholu dla bogatych znajomych. Badania toksykologiczne określą trzeźwość bądź, zgodnie z moją teorią, jej brak. Powód jego szlajania się tutaj nurtuje mnie niemal tak bardzo jak ten suvenir na twarzy. W pierwszej chwili pomyślałem, że tylko sfrustrowany jogger mógł go załatwić, bo przecież nikt normalny nie chodzi tutaj zimą po zmroku. I to mi wygląda na bardzo nieprzemyślaną rzecz. Morderca stawia pierwsze kroki w tej branży, wybiera ciemny zaułek, przypadkowego, nieodpowiedzialnego gościa. Jest też opcja, że nasz umarłak jest psycholem i kogoś zirytował.
- Zapisaleś wszystko w swoim pamiętniczku, Sherlocku? – Obserwowała teraz rozdartą materiał koszuli.
- Wiem, że jesteś rozczarowana, że to nie seryjny morderca, dobrze byś się bawiła, ale to też musimy rozwiązać. – Poklepał ją po ramieniu.
- Może nie wszystko stracone. Kto zostawia takie charakterystyczne uszkodzenia?
- Kto tak chaotycznie morduje?
- Ja widzę tutaj pewien rodzaj precyzji.
- Rozwalony łeb i skarpety w Warcie, masz dziwne poczucie perfekcjonizmu.
- Miałeś iść robić swoje.
- Idę. Pogadaj z tym nieżyczliwym, może ci się zwierzy – prychnął i odszedł w kierunku czarno-żółtej taśmy. Zostawił ją samą. Nareszcie. Teraz mogła pracować. Lubiała ten moment intymności z ofiarami. Tylko ona, martwe ciało, zagadka i kłębiące się w głowie myśli. Woda pokrywała mężczyznę aż do połowy ud. Buty musiały się zsunąć i odpłynąć. Skóra była intensywnie blada, miejscami szara, żyły zupełnie niewidoczne. Usta absurdalnie niebieskie, bardziej niż wtedy, gdy zje się za dużo jagód.

## CZERWONE SZPILKI

I te oczy. Próbowwała coś wyczytać z tego spojrzenia. Nie było tam strachu. Wtedy gałki byłyby wytrzeszczone, przerażające. Tutaj zauważała jedynie zaskoczenie. Jakby coś nie poszło zgodnie z planem. Delikatne rozczarowanie, jak wtedy, gdy nie dostajemy w prezencie urodzinowym tego, na co czekaliśmy. Koszula markowa, droga, płaszcz również. Dlaczego go zdjął? Dlaczego ktoś miałby mu go zdjąć? Kieszenie puste. Może miał tam jakieś pieniądze, które mu zabrano? Coś ją niepokoiło. Próbowwała wyobrazić go sobie bez otoczki krwi i obrażeń. Przystojny facet, ustawiony, kilka kart kredytowych, wizytówek ważnych szych. Dobrze zbudowany, zadbany. Nie potrafiła znaleźć wyjaśnienia, czuła, że sprawa nie będzie łatwa. Pod paznokciami nie miał nic, czysto, dłonie prosto od kosmetyczki. Ślad po obrączce na palcu, choć bardziej stawiałaaby na rodzinny sygnet. To też mu zabrano?

- Możecie go obrócić? Zrobiliście już zdjęcia? – zawołała, a kilku techników w rękawiczkach spełniło jej prośbę, zapewniając, że tę pozycję dokładnie już udokumentowano. Przesunęła kilka kamieni, na których leżał.
- Wiedziałam. Musiała spaść mu z palca podczas konfrontacji z mordercą albo wypadła z kieszeni. Może nie był taki święty i wracał z podrywu do wiernej żony. – Sięgnęła pęsetą po pierścionek i natychmiast go zabezpieczyła, chowając do torby próżniowej. Jednocześnie przyjrzała się jego plecocom. Przez materiał przebiły plamy krwi. Pionowe pasy, rozcięcia. Jakby ktoś przesuwał go dynamicznie w górę i dół po kamieniach. Czyli walczył, choć z przodu nie było tego widać. Odsunęła jego zaczesane do tyłu włosy.
- Witecki, chodź tutaj! – Przywołała go gestem dłoni. Szybko podbiegł, wiedział, że ten ton oznacza odkrycie, być może przełom.
- Masz coś? – Zaczepnął powietrza, nieprzyjemnie kłuło w płuca.
- Zobacz. – Wskazała na mały tatuaż.
- Wąż dookoła sztyletu, wendeta – widział już takie u więźniów.
- I powiedz mi, co symbol zemsty robi na ciele prawnika?
- To może być lepsza zabawa, niż myśleliśmy. Bierzemy go na warsztat.

♦♦♦

Szybciej, mocniej, ciszej. SZYBCIEJ, MOCNIEJ, CISZEJ. Szybciej, mocniej, ciszej. Czekałem na to. Tylko spokojnie. Opanuj się. Cholera, zimno. Palce mi zdrętwiały, niedobrze. Będzie bolało? Potrwa tylko chwilę. Może od razu wciągnę wodę przez nos? Tak to się robi? Nikt za mną nie idzie, wszyscy świętują. Nikogo nie ma. To dobrze. DOBRZE. I tak po mnie nie wskoczą, mróz ich sparaliżuje. Pozwolą mi UMRZEĆ. Ściągnąć płaszcz? Nie mam gdzie włożyć portfela. Jak mnie zidentyfikują? Wypłynię? Nie wiem. Dlaczego nie wiem? Zostawię. Przecież kiedyś mnie znajdą. Kłódki. Wszędzie wiszą te kłódki. Bariierka, już blisko. Już nic więcej nie muszę. NIE MUSZĘ. Tutaj stanę. TU będzie dobrze. Na samym środku. DOBRZE. Jeszcze tylko przejść na drugą stronę. Skoczyć. To już. KONIEC. Tylko to mnie uwolni. Wiem, wiem, tylko to, tylko to. Nic innego. Nie ma wyjścia. Może zapnę płaszcz. Nie. TERAZ to już niepotrzebne, przecież i tak będzie zimno. Zapnę. Cholera, zapnij się. Ten pieprzony guzik nigdy nie przeciska się gładko. Proszę, zapnij się. Oddech tak boli. KURWA MAĆ.

- Wszystko w porządku? Co pan robi?

◆◆◆

Sprawa zabójstwa prawnika stała się głównym tematem w mieście. Oto szanowany obywatel, przykładowy mąż, ukochany syn i dobry przyjaciel został znaleziony nad Wartą, odarty z godności i pozbawiony szansy na dobre, długie życie. Społeczeństwo czuło się zobowiązane do interwencji. Przecież nie może być tak, że odpowiedzialni, dobrzy ludzie giną bez powodu, a co gorsza, bez wyjaśnienia. Łatwiej zrozumieć zbrodnię, znając jej przyczynę. Anita Orłowska wiedziała, że tak naprawdę chodzi o podłą ciekawość, ale jedno się nie zmieniało: obojętnie, jaką perspektywę przyjąć, trzeba było rozwiązać tę zagadkę i nakarmić wszystkich prawdą. Presja, którą wywierało społeczeństwo, doprowadzała ją do szału, podczas gdy Witecki wydawał się podekscytowany całą sytuacją. Już dawno Poznań nie był tak żądny wyjaśnień.

- Dajmy im cokolwiek – zaproponował, stojąc nad sinym ciałem prawnika. Prosektorium śmierdziało formaliną, a to zawsze go zniechęcało.
- Bądź poważny – zatopiła papierosa w resztkę kawy i znów zbliżyła twarz do policzka prawnika.
- Robiłaś tak już tysiąc razy, ta rana nie jest skora do współpracy. – Pochylił się nad drugim policzkiem denata. – I wiesz, że nie można tutaj palić?
- Nie widzę, żeby ktoś się skarżył – objęła wzrokiem szuflady z ciałami.
- Powiedzmy im, że to było przypadkowe morderstwo – westchnął, patrząc w swoje notatki.
- Powiemy, jeśli to prawda. – Wyprostowała się.
- Zaczynasz wierzyć w moją teorię? – Smród przestał mu przeszkadzać.
- Niełatwo mi to przyznać, ale to jedyne, co mnie przekonuje. Rodzina chce go pochować, mamy coraz mniej czasu. Media robią z nas nieudaczników. Muszę mieć jakiś punkt zaczepienia.
- Zakładając, że się ze mną zgadzasz: jeśli ktoś zabił go przypadkiem, to dlaczego?
- Był prawnikiem, miał wielu wrogów. Przeszukajmy jego sprawy, wy pytajmy klientów. Ciało ma tutaj jeszcze zostać.
- Nie słuchał jej. Zaczął przeglądać zdjęcia z miejsca zbrodni, rozsypane na stole obok. Twarz prawnika była teraz czysta, ale wcześniej pokrywały ją krople krwi. Okrągłe i o różnym kształcie. Jakby ktoś machnął mu pędzlem przed nosem.
- Dlaczego miał krew na całej twarzy, skoro tylko prawa strona była uszkodzona?
- Nieźle oberwał, tyle – skwitowała zniechęcona jego pomysłami.
- Ktoś pluł na niego krwią. Ktoś, kogo nieźle sprzął przed śmiercią. – Przyglądał się fotografiom.
- Walczył o życie, miał do tego prawo – odpowiedziała zniecierpliwiona.
- A co, jeśli to nie on walczył, jeśli to nie on był ofiarą, tylko katem?

◆◆◆

- Wszystko w porządku? Co pan robi?
- Podziwiam widok – sine usta wygięły się w grymasie. To miał być uśmiech. Piękna kobieta.
- Na pewno? Wygląda pan na zaniepokojonego. – Zbliżyła się i spojrzała mu prosto w twarz.

## CZERWONE SZPILKI

- Chciałbym zostać sam, jeśli to nie problem – niecierpliwiał się. Niech odejdzie, błagam, niech mnie zostawi.
- Szczęśliwego Nowego Roku – uśmiechnęła się ciepło.
- Wzajemnie – spuścił wzrok. Piękne czerwone szpilki.

♦♦♦

- Kolejne dni nie wniosły do sprawy nic nowego. Krew rzeczywiście okazała się cudza, ale nie widniała w żadnym policyjnym rejestrze. Wszystko utknęło w martwym punkcie. W telewizji prawnika wyniesiono niemalże do rangi świętości – stał się przykładem sylwestrowej niesprawiedliwości losu. Żona prawnika udzieliła skąpych zeznań oraz obszernego wywiadu Jolancie Pieńkowskiej, policję zrównano z ziemią, widzowie płakali, dojadając resztki świątecznych kolacji. Śledczy odwiedzili domy wszystkich klientów, którzy mogliby szukać zemsty. Wszystkie ślady zaprzeczały sobie nawzajem. Wdowa o tatuażu małżonka wiedziała niewiele, uważała go za męski i nigdy nie dociekała, dlaczego powstał. Była pewna, że jej ukochany w więzieniu nie był, i miała rację. Trop został więc urwany. Jedyne, co wywołał, to chwilę ekscytacji podczas pierwszych oględzin, potem stał się jedynie gwoździem do trumny. Wynik studenckich szaleństw, ot co. Pani Grabowska przez zdecydowaną większość przesłuchania szlochała. Witecki ze zmarszczonym czołem podawał jej chusteczki, a Orłowska wzdychała pod nosem. Łzy kapały na czarną sukienkę od jednego z poznańskich projektantów, wydaje się stworzoną specjalnie na tę okazję. Mąż wrogów nie miał, obsypywał ją prezentami, kochał i nigdy, rzecz jasna, nie zdradzał.
- Poszedł tylko po wino. Zabrakło nam, gdy świętowaliśmy ze znajomymi. Mieszkanie mamy nad rzeką, może gdybym wyszła na balkon... – relacjonowała.
  - Nie zachowywał się podejrzanie? – Orłowska szukała czegoś, co zmieni tor śledztwa.
  - A pod choinkę kupił mi buty na święta, uwielbiał buty, o te właśnie, to ostatnia pamiątka. – Wydmuchała nos i spojrzała na swoje stopy wciśnięte w eleganckie wysokie kozaczki.
  - Jest pani pewna, że nie miał żadnych tajemnic? – Witecki próbował kolejny raz osiągnąć cokolwiek.
  - To był złoty człowiek – atak płaczu zakończył zadawanie pytań.

♦♦♦

Żądza. Każdy dobrze zna to uczucie, nawet jeśli przekonuje samego siebie, że nie ma o nim pojęcia. Ukrywamy je przed innymi, tłumimy, zostawiamy na samotne wieczory. Rzadko pozwalamy wydostać się jej na zewnątrz. Rodzi się gdzieś w okolicach żołądka, pałaca, słodka, bolesna. Potem się rozprzestrzenia, promieniując na całe ciało. Napędza serce. Po chwili, razem z jego każdym uderzeniem, podróżuje we krwi, rozsiewając ciepło. Zalewa organizm. Mrowienie obejmuje łączywie wszystkie kończyny. Umysł staje się niewolnikiem, powtarza posłusznie mantrę czerpiącą prosto ze źródła pragnień. Żądza ma różne oblicza. Zawsze wstydliva, nieokiełznana. Często niewinna, łatwa do zaspokojenia. Rzadziej zachłanna i brutalna. Niektórym wystarczy kawałek czekolady, ale inni na przykład muszą zabić człowieka.

♦♦♦

Park Thomasa Woodrowa Wilsona zimą stawał się ponurym miejscem. Czarna stalowa brama wejściowa ostrzegała wszystkich, że wewnątrz może okazać się nieco mroczne. Alejki były opuszczone i zasypane śniegiem. Scena amfiteatru stała pusta, drzewa zakrywały skutecznie większość powierzchni, strasząc przechodniów swoimi nagimi gałęziami. Fontanna dawno nieczynna, wypełniona po brzegi białym puchem i kawałkami zmarzliny. W kątach liście pokryte lodem, uwięzione tuż przed końcem jesieni. Idealna sceneria dla Anity, która puste, samotne miejsca traktowała jako najbezpieczniejsze i pozwalające się skupić. Były zwierciadłem jej wnętrza i w nich czuła się dobrze. Ostatni dzień, kiedy mogła jeszcze coś wymyślić. Potrzebowała przestrzeni, która pozwoli jej na otwarcie umysłu. Siedziała na porysowanej mrozem ławce. Zaciskała na jej krawędziach dłonie schowane w skórzane rękawiczki. Oddech zamieniał się w parę, rozchodząc się w powietrzu.

- Podwójne espresso dla pani – Witecki podał jej papierowy kubek.
- Dzięki. Ale to już chyba w niczym nie pomoże – westchnęła.
- Żona naszego umarlaka nieszczęśliwie nam pomogła. – Usiadł obok niej i nałożył na głowę wełnianą czapkę.
- To wszystko nie ma sensu – pocierała dłonią czoło.
- Wprost proporcjonalnie do poziomu frustracji – zaśmiał się, ale widząc brak jej reakcji, zamilknął i spuścił wzrok. – Ładne buty – postanowił ratować sytuację komplementem. Odwróciła głowę i twarz jej stężała. Wciągnęła głośno powietrze, wyprostowała się i energicznie podniosła, wylewając kawę na ziemię. Opary napoju uniosły się i rozplynęły.
- Zapłaciłem za nią 15 złotych, trochę szacunku – prychnął.
- Wracamy do auta! Muszę jeszcze raz zobaczyć ciało. – Ruszyła alejką, a on za nią. Choć nalegał, nie pisnęła ani słowa. Na schodach poślizgnął się i niemal przewrócił, ale dotrzymał jej kroku. Przez całą drogę pospieszała go, niecierpliwiąc się. Kiedy zaparkowali, wyszła w pośpiechu. Winda do szpitalnych podziemi skrzypiała, a ona nerwowo stukala palcami w jej ściany. Wbiegła do prosektorium i kołysząc się w miejscu, oczekiwała na otwarcie szuflady ze zwłokami prawnika. Sama rozpięła czarny worek, a potem suwak swoich granatowych botków. Oparła się na ramieniu zdumionego Witeckiego i nim zdążył zadać jakieś pytanie, przyłożyła szpilkę do policzka Grabowskiego. Przesunęła ją wzdłuż rany. Pasowała.
- Zabiła go kobieta. Własnym butem. Zrobiła to w obronie własnej. – Spojrzała na Witeckiego charakterystycznym wzrokiem. Była to mieszanina przerażenia i podkcytowania.

♦♦♦

W każdej sprawie najważniejsze są przełomy. Nieistotne, ile ich jest. Wystarczy, że pojawi się jeden, a następne działają jak domino. Układanka nabiera kształtów wraz z uzyskaniem pierwszego połączenia. Dwa dni po dopasowaniu szpilki do rany na komendę zgłosiła się dziewczyna, która rozpoznała w telewizji Grabowskiego. O gwałcie nigdy wcześniej nie mówiła, bo myślała, że nikt jej nie uwierzy. Podobno znała więcej jego ofiar, zaszczutych i zastraszonych. Wielokrotnie powtarzał jej, że nie ma z nim szans, bo jako prawnik zrówna ją z ziemią. Straszyl przez telefon,



## CZERWONE SZPILKI

że będzie błagała o litość, tak jak wtedy, na studiach, w akademiku. Miał drugie oblicze, które ujawniało się podczas brutalnych czynów, jakich dokonywał. Liczba jego ofiar była trudna do określenia. Ta ostatnia uniknęła wieloletniego nękania. Udało jej się uciec. Przynajmniej taką wszyscy mieli nadzieję. Chcieli ją znaleźć, ale jednocześnie czuli, że zasługuje na spokój.

♦♦♦

- A więc tatuaż był symbolem tego, czego udało mu się uniknąć. – Orłowska i Witecki spacerowali brzegiem Warty. Po raz ostatni odwiedzali miejsce zbrodni.
- Myślę, że sam stworzył sobie więzienie. Nie mógł przestać, to wciąż do niego wracało. Gdzieś w środku musiał siebie nienawidzić. – Przystanął nad wodą. Jeszcze niedawno leżało tutaj ciało.
- Nie sądzę, żeby miał sumienie. – Stanęła obok.
- Nigdy nie znajdziemy tej dziewczyny. – Spojrzał na płynące kry na rzece.
- Znaleziliśmy coś ważniejszego. Jego drugą stronę. Nigdy już nikogo nie skrzywdzi. Nigdy nikogo nie okłamie. – Przyklękła i przesunęła kilka kamieni.
- Chyba pierwszy raz nie chcę poznać mordercy. – Schował dłonie do kieszeni.
- Pewnie wracała z zabawy sylwestrowej...
- Uratowała siebie i wiele kobiet. Oby jakoś się pozbierała. – Przyklękła obok niej.
- Kto by pomyślał. To było tutaj. A teraz jest tak spokojnie. – Rozejrzeli się dookoła.
- Sprawa zamknięta, partnerko? – Spojrzał na nią wymownie.
- Zamknięta.

♦♦♦

Proszę, szybciej... Dlaczego go zaczepiłam? Boże. Nie chciałam tego. Zimno mi. Boli. Trwa już tak długo, przestań. Zabij mnie już. Nikogo nie ma. Nikt mnie nie uratuje. Pozwolą mi UMRZEC. Gdzie mój płaszcz? Kiedyś mnie znajdą. Przecież kiedyś mnie znajdą. Już blisko. Niech ktoś mi pomoże. Pomocy. Tutaj umrę? Przestań. Nie mam siły. Nie chcę umierać. Moje buty.

Czerwony pantofelek leżał w zasięgu jej wzroku. Zanurzony głęboko w śniegu, powyżej uroczej białej plamki na obcasie. Stopa odziana w cienkie rajstopy zanurzona w wodzie zdrętwiała z zimna. Wyciągnęła dłoń. Naprężyła ją i rozciągnęła palce tak mocno, jak tylko mogła. Przygniatał ją do ziemi, twarz miała zalaną łzami, usta wypełnione krwią. Już prawie sięgnęła, gdy gwałtownie chwycił jej podbródek.

- Patrz na mnie, kiedy mi pomagasz. Chciałaś mi pomóc. Jesteś moją samarytanką, cieszysz się? – Zaciskał dłoń tak, że wbijała się w jej policzki. Nie widziała teraz buta. Przesuwała palce dalej i dalej, aż poczuła jego fakturę. Pod opuszkami miała miękkie kremowe wnętrza. Nie musiała patrzeć. Przecież znała je na pamięć. Delikatnie poruszyła dłonią, działając nią jak haczykiem. Bucik się przewrócił i był już bardzo blisko. Wiedziała, że musi mocno go chwycić, żeby nie wypadł. Musi zacisnąć rękę na czubkach, jak najmocniej. To jedyna szansa. Teraz albo nigdy. Szarpnęła się i wbiła szpilkę w jego twarz, a potem przeciągnęła ją w dół, rozcinając mu policzek. Wrzasnął i puścił ją, próbując dotknąć ranę. Wysunęła się spod niego i przeczłogała kilka metrów. Nic nie widziała, nie mogła zmusić się

do wstania. Czują jak puchną jej usta, złamany nos palił ją żywym ogniem, a ból w dole brzucha krępował jej ruchy.

– Głupia suka – słyszała, jak przeklina. Próbowła się podnieść. Śnieg zaskrzypiał. Był tuż za nią. Pociągnął ją za włosy. Krzyczała, jej ciało sunęło w stronę rzeki. Pomyślała, że teraz ją utopi, że straciła jedyną szansę. Ale tak się nie stało. Był zbyt wściekły, żeby zachować ostrożność. Kamienie na brzegu były śliskie, więc gdy tylko na nie wszedł, padł z łoskotem na ziemię. Nadal ją trzymał. Przewracali się, drapała go, biła na oślep. Próbował ją unieruchomić, chwycić za nadgarstki. Nie puściłby, nigdy. Dlatego musiała zebrać w swoim małym ciele wszystkie siły i jednym, decydującym o jej życiu ruchem uderzyć go kamieniem w skroń. A potem włożyła płaszcz i odeszła, ściskając w rękach parę czerwonych szpilek. |